

Prostytucja w Warszawie – 1

22 września 2014

O tym, gdzie w Warszawie najlepiej iść „na panienki” w II RP wiedziała już nawet gimnazjalna młodzież. Dla biednych – szybka miłość w nadwiślańskich zaroślach. Dla zamożnych – towarzystwo eleganckich dam w luksusowych lokalach. Jak w II RP wyglądała prostytucja w Warszawie?

MAPA NIERZĄDU W II RP

Konrad Lewandowski w swojej powieści kryminalnej *Magnetyzer* bardzo zgrabnie pokazał krajobraz przedwojennej Warszawy, odmalowując ją jako kilka złączonych ze sobą światów, często mocno ze sobą skonstrastowanych. Z jednej strony – Aleje Jerozolimskie, świat neonów, drogich sklepów i wytwornych restauracji, z drugiej strony – nędza Nalewek i brud nieskanalizowanej Woli. W tym pełnym przeciwieństw obrazie kryje się prawda o ówczesnej stołecznej rzeczywistości.

Wyobraźmy sobie, że mamy rok 1930. Jest piękny słoneczny dzień, my zaś wsiadamy przy IV bramie cmentarza Powązkowskiego do tramwaju numer 1. Ruszamy więc, de facto, już z peryferii stolicy, a następnie jedziemy na wschód do brudnego, ale i zarazem pociągającego swą egzotyką świata Nalewek, Dzikiej i Muranowskiej, gdzie tramwaj musiał zwalniać. Tam bowiem ulice były zatarasowane przez handlarzy sznurowadłami i cebulą, przez targujące się baby, biegające po ulicy dzieci i religijnych Żydów śpieszących do synagogi. Po wydostaniu się z tego labiryntu tramwaj mijał hale targowe na Placu Mirowskim, gdzie jidysz melodyjnie mieszał się z gwarą warszawską i językiem polskiej wsi. Następnie nasz tramwaj mijał Stare Miasto, opanowane wówczas przez warszawską biedotę, by – zgrzytając kołami o szyny, skręcić w eleganckie Krakowskie Przedmieście i corso Nowego Świata, gdzie z dancinów płynął jazz, sunęły powoli czarne ople i fiaty, a w kawiarni Bliklego pączki jadł właśnie Eugeniusz Bodo, Janusz Kusociński albo

Tadeusz Dołęga-Mostowicz. Dalej mijaliśmy plac Trzech Krzyży, by spokojnie wkroczyć w rzeczywistość modernistycznego Mokotowa. Aż w końcu mogliśmy wysiąść na końcowej stacji tramwaju, na peryferiach, jakimi było wtedy Wierzbno.

W ten sposób można było odbyć symboliczną podróż przez Europę Środkową za marnych kilkanaście groszy. Każda z tych dzielnic miała inną specyfikę, w każdej inaczej wyglądała też oczywiście sprawa nierządu. Oprę się tu na ustaleniach Ireny Surmackiej, autorki wydanej w 1939 roku książki „Czynniki prostytucji oraz charakterystyka prostytutek. Ankieta zebrana wśród prostytutek warszawskich”. Jest to praca będąca najdokładniejszym przeglądem realiów życia ulicy międzywojennej Warszawy. Według jej autorki najwięcej prostytutek mieszkało i zarabiało na życie na terenie Woli i Muranowa oraz Powiśla i Starego Miasta. Duża liczba prostytutek była również obecna w Śródmieściu Południowym. Im dalej od centrum tym mniejsza liczba cór Koryntu, a wyjątkami od tej tendencji była Ochota i Praga. Na Żoliborzu i Mokotowie praktycznie ich nie było. Co więcej, na peryferiach, przykładowo na Grochowie, zgodnie z przeprowadzoną ankietą, nie mieszkaly one w ogóle. W centrum Warszawy łatwiej było spotkać eleganckiego przyjezdnego, który mógł chcieć skorzystać z jej usług, zaś dojazd z przedmieść trwałby za długo – taką przynajmniej tezę na podstawie swoich badań wysnuła Surmacka.

Jeżeli przyjrzymy się przedwojennym statystykom, naszym oczom ukażą się oszałamiające dane. Jak czytamy w „Prostytucji” Józefa Mackiego, wydanej nakładem Komitetu do Walki z Handlem Dziećmi i Kobietami, w 1926 roku w Warszawie w ewidencji znajdowało się 3479 cór Koryntu, chociaż zapewne była to liczba zaniżona. Obejmowała ona jedynie prostytutki zarejestrowane, pomijając znacznie liczniejszą szarą strefę. Wątpliwe źródło, jakim jest „Tajny Detektyw”, powoływało się na raporty policyjne mówiące o 5 tysiącach. Wydaje się, że jest to liczba prawdopodobna, szczególnie jeżeli zestawimy ją

z liczbą prostytutek w innych miastach europejskich. W innym tekście pochodzącym z tej samej gazety z początku lat trzydziestych, wskazywano, że prostytutek mogło być nawet 25 tysięcy. Do danych z najpopularniejszej polskiej gazety kryminalnej nie można podchodzić bezkrytycznie, szczególnie że informację o zaniżeniu oficjalnych danych można znaleźć w analizach policji z tego okresu.

Zgodnie z badaniami przeprowadzonymi przez Wacława Zaleskiego w 1927 roku, w stolicy II RP mieściło się blisko czterysta różnego rodzaju domów schadzek. Zgodnie z rocznikiem statystycznym w 1927 roku w Warszawie mieszkały 1 028 982 osoby. Z zestawienia tych dwóch liczb wynika, że na jeden przybytek rozkoszy przypadało około 2,5 tysiąca mieszkańców. W 1933 roku policja chwaliła się, że z 388 przybytków tego typu, 254 zlikwidowano dzięki przeprowadzeniu szeroko zakrojonej obserwacji. Nie wiadomo jednak, ile pojawiło się nowych lokali w miejsce tych, które zniknęły. Bez większej przesady można powiedzieć, że centrum Warszawy było zagłębiem lupanarów. Spotkanie prostytutki w regionie ulicy Marszałkowskiej, Chmielnej, Brackiej albo Widok nie było niczym niezwykłym, a usłudźni kelnerzy, szoferzy i barmani chętnie wskazywali drogę potrzebującym.

W kartotekach policyjnych miejsca te nazywane były „potajemnymi domami publicznymi”, ale wszyscy wiedzieli, że „tajne” są one jedynie w raportach policyjnych, szczególnie że prasa brukowa dosyć często rozpisywała się o ekscesach rozgrywających się w tego typu przybytkach. Na przykład w „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym” w 1925 roku można było przeczytać następującą notatkę: „Niemiła przygoda spotkała wczoraj wieczorem w znanym domu „schadzek” Jadwigi Bitnerowej przy ulicy Widok nr. 11 kupca Jankła Herszla Zyskinda (Wronia 11). Ponieważ Z. w ostatniej chwili rozmyślił się i nie chciał zostać w osławionym domu rzuciły się na niego, oprócz Bittnerowej, jeszcze trzy jej „pensjonarki: bojąc go pięściami i pogrzebaczem. Napadnięty zdołał wyrwać się, po czym

stwierdził brak 1 dolara. O powyższej przygodzie Zyskind zameldował w X komisariacie.”

Policja, by móc zwalczać nielegalne miejsca schadzek, musiała najpierw przeprowadzić dokładne badania. Dzięki nim udało się funkcjonariuszom dokonać naukowego rozróżnienia domów schadzek występujących na terenie Warszawy. Zarówno tych legalnych jak i nielegalnych:

- Lokale z dwoma mieszkającymi na stałe prostytutkami (w świetle badań przeprowadzanych przez Surmacką w 1939 roku były one najpopularniejsze).

- Lokal z większą ilością prostitutek i gospodynią, czyli „ciocią”. Wydaje się, że w wypadku „cioci” Bitnerowej można mówić właśnie o takim układzie.

- Lokal tylko z gospodynią, która tylko „udziela mieszkania”, to znaczy bierze opłatę za wynajem łóżka. Zazwyczaj niezwykle wysoką.

- Dom schadzek utrzymywany przez osoby z wyższych sfer społecznych. Wbrew pozorom musiałyby być one liczne, skoro nawet w „Archiwum Kryminologicznym” odnotowano, że: „Na wielką trudność natrafia się stale, przy próbie likwidacji domów schadzek dokąd uczęszczają tzw. wyższe sfery towarzyskie, gdzie uprawiają nierząd kobiety, które z uwagi na swoje pochodzenie, wykształcenie itd. trudno by podejrzewać o uprawianie prostytucji”.

- Pensjonaty, pokoje umeblowane etc., które – jak później wykażę – również cieszyły się dużą popularnością.

Dzięki obserwacjom i badaniom prowadzonym przez policję dobrze widać, w jaki sposób zmienił się charakter tych miejsc w stosunku do czasów sprzed I wojny światowej. Wtedy dominowały ekskluzywne domy publiczne, w których można było zjeść wykwintny obiad, posłuchać muzyki i pójść oddać się płatnej miłości w jakimś zacisznym gabinecie-sypialni. Tymczasem w II

RP lokali tego typu było niewiele.

ŚRÓDMIEŚCIA CZAR

Śródmieście Warszawy to rejon, który był wizytówką stolicy. A przynajmniej wszyscy chcą tak wierzyć. Wytworne, zadbane kamienice, nowoczesne apartamentowce, linie autobusowe, ekskluzywne – jak wtedy mówiono – gabinety restauracyjne Adrii, Oazy lub Zodiaku. Świat drogich alkoholi, kawioru i wykwintnych ulic, którymi eleganckie pary wracały do domu w blasku neonów, a taksówkami i bryczkami jeździli Wieniawa, Tuwim czy Słonimski. Świat kawy u Plutona i towarów od braci Jabłkowski. Jednym słowem – Paryż Północy. Ale tam, gdzie gości bogactwo i bawi się elita, tam zawsze jest jakaś mroczna strona.

W kamienicy przy ulicy Widok 11 (jedynej z zachowanych tam do dzisiaj na prawej pierzei) swój przybytek miała „ciocia” Bitnerowa, o której prasa w 1925 roku pisała w następujących słowach: „Onegdaj władze policyjne śledcze, przeprowadzając obławę w okolicy dworca Głównego i ul. Marszałkowskiej, gdzie włóczą się najrozmaitszego gatunku szumowiny uliczne, a zwłaszcza lotne damy, które wciągają przyjezdnych do podejrzanych lokali i tam najczęściej okradają ich – zajrzały również do niektórych tego rodzaju dyskretnych nor, służących często za kryjówkę dla poszukiwanych przez policję osobników. Do jednego z takich lokali, mieszczącego się w ludnej kamienicy przy ul. Widok nr. 11, przedstawiciele policji śledczej, pp. kom. Dobiecki i jego zastępcą Czerwiński nie mogli się dostać. Utrzymująca ów lokal, Jadwiga Bitnerowa zatarasowała drzwi i na wezwanie policji nie dawała odpowiedzi. Poradzono sobie w ten sposób, że przez otwarty lufcik wtargnięto do środka i stwierdzono, że „gość” zamknięty jest w wygodce, „dama” zaś poszukiwana przez policję – szafie. Ponieważ Bitnerowa wszczęła awanturę z przedstawicielami, policji, aresztowano ją i wraz z przyjaciółką osadzono w areszcie. Jednocześnie władze policyjne występują na właściwą drogę z żądaniem zlikwidowania lokalu, który ma charakter tzw.

„spelunki” złodziejskiej.”

Jak widać, przybytek przy ulicy Widok należał do miejsc znanych. Wacław Zaleski dosyć często wspominał o jego działalności, podając go jako przykład poziomemu zdemoralizowania centrum stolicy. Jego ocena może być swego rodzaju punktem odniesienia przy poruszaniu problemu prostytucji w Warszawie.

W rejonie Dworca Wiedeńskiego i Dworca Głównego tego typu przybytki były gęsto rozsiane. W czasach II RP na dosyć długiej ulicy Marszałkowskiej, gdzie znajdował się magazyn maszyn do szycia Singera, cukiernia Sidorski oraz redakcja „Kuriera Porannego”, miała swój przybytek „ciocia” Krauze. Być może leżał on w bezpośrednim sąsiedztwie cukierni Krakowskiej, w której przesiadywały prostytutki, a może był to lokal, o którym Zaleski pisał, że mieścił się na rogu Marszałkowskiej i Nowogrodzkiej. Ponadto stosowne lokale można było spotkać przy ulicy Hożej 37 czy w Alei Szucha 3. Wiadomo również, że dom publiczny – nazywany w gwarze taksówkarzy „siedzącym bajzlem” – ulokowany był również na Kruczej a rządziła nim niejaka „ciocia” Grzybowska. Do tego luksusowy lokal mieścił się przy ulicy Dobrej 42, gdzie ponoć przyjmowały damy uczone w ars amandi. Przy ulicy Natolińskiej usługi świadczyła pani Hekselmanowa.

Wydaje się, że najwięcej „pokoi na godzinę” w Śródmieściu można było znaleźć tam, gdzie współcześnie stoi Pałac Kultury i Nauki, a gdzie przed wojną biegła ulica Chmielna. To właśnie przy niej mieściły się takie lokale jak: hotele Astoria (nr 49) i Litewski (nr 19), przeznaczone dla uboższych warszawiaków, oraz Treminus (nr 28), Grand (nr 5), stojący już przy Nowym Świecie Royal (nr 31) czy też dom kąpielowy Diana dla tych, którzy posiadali nieco pokaźniejsze portfele. Nie były to jednak zwykłe domy publiczne, a jedynie miejsca, w których można było bardzo łatwo spotkać córę Koryntu. Ba, przyjezdnemu trudno było uzyskać normalny pokój na całą dobę, ponieważ właścicielom bardziej opłacało się wynajmować je na

godziny. Zaleski wspomina w swojej książce, że przy ulicy Pięknej oraz nieco dalej, w okolicach kościoła świętej Barbary, znajdowały się również liczne przybytki rozkoszy, którym nie przeszkadzało najbliższe sąsiedztwo świątyni, pomimo przepisu zakazującego prostytucji blisko obiektów sakralnych.

Gdzieś w Warszawie, niestety źródła milczą w kwestii dokładnej lokalizacji, działały panie Hendłowa, Żbikowska i Wiśniewska ze swoimi domami schadzek. Wiadomo natomiast, że w kamienicy na rogu ulicy Lwowskiej i Koszykowej mieścił się przybytek pani Ewy Lato, który przetrwał wojenną zawieruchę. W pierwszych latach II RP działał również „tajny” przybytek na ulicy Szkolnej. Został on jednak spektakularnie zlikwidowany przez komisarza komorniczego, niejakiego Łopatto, który bezpardonowo eksmitował mieszkańców lokalu. Pikanterii całej sprawie dodaje fakt, że w tej samej kamienicy mieściła się ekspozytura komisarza rządu i rada adwokacka. Podobnie jak w przypadku przybytków uciech umieszczonych w sąsiedztwie świątyń, było to niezgodne z prawem.

Eksmisja takiego „tajnego” domu schadzek nie należała do najprostszych. Wyjątkiem była właściwie tylko kryzysowa sytuacja u zarania II RP, kiedy bolszewicy podchodzili pod Warszawę. Wtedy lokale eksmitowano masowo, głównie z powodu zmiany przepisów oraz palącej potrzeby zwiększania lokali dla wojska. Nawiasem mówiąc, dochodziło wówczas do kuriozalnych sytuacji. Zalewski pisał, że w jednym z lokali pokój zarekwirował oficer z żoną, przy czym dom prosperował w najlepsze i jego działalność zakończyła dopiero oficjalna eksmisja. W późniejszych latach okazało się, że właściciele kamienic nie są skorzy do pozbywania się tych przybytków. Burdelmamy płaciły bowiem odpowiednio wyższy czynsz i na tego typu wynajmie można było nieźle zarobić.

Niektóre informacje o kontaktach świata przestępczego i policji bywały wręcz nieprawdopodobne. Ponoć jeszcze przed rokiem 1927 „tajny dom schadzek” miał mieścić się w

bezpośrednim sąsiedztwie XI komisariatu policji (ulica Poznańska 11). „Bezpośrednie sąsiedztwo” oznaczało w tym wypadku „ściana w ścianę”. Podobno warszawskie córki Koryntu przyjmowały swoich klientów w ruderach i barakach przylegających do placówki policji. Trudno sądzić, że policja nie zdawała sobie sprawy z tego sąsiedztwa.

DALEJ OD CENTRUM I PERYFERIE

Prostytutki pojawiały się tam, gdzie miały największą szansę znaleźć klienta na swoje usługi. Im dalej od centrum miasta, tym mniejsze było więc prawdopodobieństwo, że się ją spotka. Tym niemniej zdarzały się wyjątki. Prostytutki można było znaleźć na terenie Czystego, Ochoty, Koła, praskiej strony Wisły oraz Powązek, szczególnie w rejonie Dzikiej, Bagna i placu Grzybowskiego razem z Graniczną. Miało to zresztą swoje nieoczekiwane konsekwencje, powodując nawet co jakiś czas zatargi pomiędzy religijnymi Żydami a sutenerami. Nie pojawiały się one jednak tak często jak można by się spodziewać, a powód był prozaiczny. Otóż w wyobrażeniu części ortodoksyjnych Żydów fakt oddawania się chrześcijańskiej prostytutce gojowi nie stanowił zgorszenia. Starano się więc je tolerować. Inaczej, rzecz jasna, wyglądała sprawa, jeżeli chodzi o prostytutki pochodzenia żydowskiego, które gmina starała się zwalczać. Warszawski taksówkarz Marian Sękowski w swoich wspomnieniach wskazuje tylko jeden „siedzący bajzel” na terenie dzielnicy żydowskiej, chociaż zapewne było ich więcej. Na jednej z typowych ulic tamtej części miasta, wybrukowanej kocimi łbami i z rynsztokami po obu stronach, również znajdował się lupanar. Mowa o przybytku Rifki di Kij na ulicy Wołyńskiej.

Nieco inaczej wyglądała sprawa w przypadku Woli. Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych tą częścią miasta niepodzielnie rządził Łukasz Siemiątkowski vel Tata Tasiemka, którego w roku 1932 oskarżono o inspirowanie licznych aktów przemocy wobec handlarzy z Kercelaka, jednego z największych targowisk przedwojennej Warszawy. Legendy o realnej władzy

Taty Tasiemki i jego wielkich wpływach nie były przesadzone. Nawet jeden z najbliższych współpracowników Józefa Piłsudskiego, Walery Sławek, kiedy został okradziony i stracił nadzieję na odzyskanie swoich pieniędzy, postanowił skorzystać z pomocy wojskiego gangstera w znalezieniu sprawcy. Niemniej podczas procesu Taty Tasiemki wśród licznych przestępstw nie wymieniono sutenerstwa. Trudno więc orzec czy mógł on rzeczywiście być również „królem” warszawskich domów schadzek, choć takie podejrzenia pojawiały się w stołecznej prasie.

Przywołane przeze mnie wyniki badań Ireny Surmackiej wskazują na relatywnie niewielką liczbę zarejestrowanych prostytutek na terenie Woli, Mokotowa i Żoliborza. Częściowo wiązało się to z mniejszą inwigilacją tych dzielnic przez policję, przez co większa ilość nierządnic pozostawała poza kartoteką. Nie oznacza to jednak, że prostytucji tam w ogóle nie było. Na przykład przy ulicy Wilanowskiej 17, czyli już właściwie na peryferiach Warszawy, mieścił się również dom schadzek. Co ciekawe, najprawdopodobniej był to jeden z eleganckich lokali zarezerwowanych dla klientów z grubszym portfelem.

Warto jednak pamiętać, że seksbiznes przyjmował niekiedy naprawdę dziwne wariacje. O jednej z nich niezwykle małoowniczo pisał Marian Sękowski: „Była Stasia nadzwyczajnie urodziwa i pociągająca. Dałem się więc skusić na przejażdżkę z nią na tak zwane popularne „ksiuty w oleandry”. W pobliżu Klubu Wodnego „Sokół” zastałem wiele samochodów taksówek i dorożek konnych, oczekujących na towarzystwa zabawiające się na dansingu i na parki, które łódkami i pieszo udały się w zarośla pokrywające mielizny wiślane tzw. „łachy”. Za skrycie się w tej wiklinie płaciło się pięć złotych od parki. Cwaniacy, którzy wykorzystali to dyskretne miejsce na bajzel pod gołym niebem, mieli również do wynajęcia koce do rozpościerania na ziemi. Zostawiłem więc samochód pod opieką tych organizatorów i udaliśmy się w „oleandry”, biorąc ze sobą jeszcze pokrowce z siedzeń.”

Na obrzeżach Warszawy znajdowały się również ekskluzywne

lokale, do których Sękowski niejednokrotnie woził bogatych klientów. Drogie domy schadzek znajdowały się w Konstancinie i w Wawrze, w uroczu położonych willach. Na przedmieściach Warszawy pracowały kobiety, które z racji wieku czy też chorób nie mogły znaleźć miejsca w centrum Warszawy. Rejony Bielń, Powązek, Goleńdzinowa oraz Gocławia były dosyć często zamieszkiwane przez ludzi ubogich. To właśnie tam znajdowały się baraki, o których niejednokrotnie mówiono, że są siedliskami patologii. Nic więc dziwnego, że można było tam spotkać tylko te prostytutki, które stały najniżej w hierarchii.

Autor: Paweł Rzewuski

Źródło: Histmag.org

Licencja: [CC BY-SA 3.0](https://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/)